

Twórca bestsellerowych thrillerów:  
OFICERA I SZPIEGA, ENIGMY i AUTORA WIDMO

# WIELKA UCIECZKA

ZABILI KRÓLA ANGLII.  
JAKĄ CENĘ BĘDĄ MUSIELI  
ZAPŁACIĆ?



ALBATROS

Tytuł oryginału:  
ACT OF OBLIVION

Copyright © Canal K 2022  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Janusz Ochab 2023

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Glen O'Neill

Projekt okładki polskiej: Agnieszka Drabek

Zdjęcia na okładce: Getty Images (*konie i wilki*); Colin Thomas (*postacie*)

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gdybyście latem 1660 roku wybrali się w liczącą cztery mile drogę z Bostonu do Cambridge w stanie Massachusetts, pierwszym domem, jaki ujrzelibyście po przekroczeniu rzeki Charles, byłby ten należący do Gookinów. Stał na ogrodzonym podmokłym gruncie przy drodze na południowym krańcu niewielkiej osady, tuż za strumieniem, w połowie odległości między rzeką a College'em Harvarda – solidny piętrowy budynek z muru pruskiego ze strychem pod stromym spadzistym dachem, skąd rozciągał się szeroki widok na rzekę. Tego lata kolonia zajmowała się budową pierwszego mostu przez rzekę. W pobliżu pochylni, z której odpływał prom, wbijano w muliste dno grube drewniane pale. Przez senne letnie powietrze do domu niosły się stukot młotów, zgrzyt pił i krzyki robotników.

Tego dnia – w piątek dwudziestego siódmego lipca – drzwi stały otworem, a do furki przybito kartkę ze sporządzonym dziecięcą ręką napisem *Witamy w domu*. Nieco wcześniej student przechodzący obok posiadłości przyniósł informację, że rano między Bostonem a Charlestown zacumował statek z Londynu, *Prudent Mary*. Wśród pasażerów znajdował się prawdopodobnie pan Daniel Gookin, właściciel domu, który wracał do Ameryki po dwuletniej nieobecności.

W domu, tak czy inaczej nieskazitelnie czystym, szybko zrobiono porządku, a dzieci wyszorowano i zmuszono do założenia najlepszych niedzielnych ubrań. Wczesnym popołudniem cała piątka czekała w salonie razem z panią Gookin: Mary, która miała dwadzieścia lat i otrzymała imię po matce, osiemnastoletnia Elizabeth oraz ich trzech młodszy bracia: dziesięcioletni Daniel, ośmioletni Samuel oraz czteroletni Nathaniel. Ten ostatni w ogóle nie pamiętał ojca i wiercił się niespokojnie na krześle.

Pani Gookin wiedziała, że przyczyną tego napięcia nie jest przymusowy pobyt w domu, lecz raczej perspektywa zobaczenia ojca. Wzięła najmłodszego syna na kolana i głaskała go po głowie, opowiadając o mężczyźnie, który wkrótce wejdzie do domu – o jego dobroci i łagodności, o ważnej pracy dla rządu w Londynie, dokąd wezwał go sam lord protektor.

– Ojciec cię kocha, Nat, a Bóg już dopilnuje, żebyś i ty go pokochał.

– Kto to jest lord protektor? – spytał chłopczyk.

– Protektor – poprawiła go matka. – Władca Anglii i Ameryki. Nazywaliśmy go tak, bo nas chronił.

– Jak król?

– Tak, jak król, tylko lepszy, bo wybrany przez parlament. Ale lord protektor już nie żyje. Dlatego twój ojciec wraca do domu.

Nathaniel otworzył szerzej oczy.

– Jeśli protektor nie żyje, to kto nas będzie chronił?

To samo pytanie zadawały sobie najtęższe umysły w Anglii i pani Gookin nie potrafiła udzielić na nie odpowiedzi. Zwróciła się więc ponad głowę synka do najstarszej córki:

– Mary, idź, proszę, na strych i zobacz, czy ojciec już nie nadchodzi.

Dziewczyna pobiegła na górę i wróciła minutę później z wiadomością, że prom wciąż cumuje przy przeciwległym brzegu rzeki, a na drodze nikogo nie ma.

Potem dzieci na zmianę wychodziły co kwadrans na strych, by sprawdzić, co dzieje się na rzece i drodze, i za każdym razem wracały z tą samą odpowiedzią. W umyśle pani Gookin zaczęło się rodzić straszne podejrzenie, że mąż jednak nie wróci do domu – że statek nie dopłynął do Ameryki albo że dopłynął, ale jej męża na nim nie było. Być może w ogóle nie wsiadł w Anglii na pokład albo podczas rejsu spotkało go jakieś nieszczęście. Owinęte całunem ciało, krótka modlitwa, obciążone zwłoki zsuwające się głową prosto w morskie fale. Podczas ich rejsu z Anglii przed dwudziestu laty coś takiego zdarzyło się dwukrotnie.

– Chłopcy, możecie wyjść na zewnątrz i tam poczekać – powiedziała.

Nathaniel zsunął się z jej kolan i wszyscy trzej popędzili do drzwi niczym koty wypuszczone z worka.

– Ale nie pobrudźcie ubrań!

Dziewczyny pozostały na swoich miejscach.

– Na pewno nie ma się czym martwić, mamó – odezwała się Mary, która bardziej niż siostra przypominała rozsądną i powściągliwą matkę i przez ostatnie dwa lata odgrywała w gospodarstwie rolę mężczyzny. – Bóg z pewnością miał go w opiece.

Elizabeth – ładniejsza, wiecznie narzekająca na swoje obowiązki domowe – wybuchła ze złością:

– Przecież minęło już chyba z siedem godzin, odkąd przyplłynął statek, a z Bostonu jest tylko godzina drogi.

– Nie krytykuj ojca – upomniała ją pani Gookin. – Jeśli się spóźnia, to na pewno ma ku temu ważne powody.

– Ktoś tu płynie! – zawołał z zewnątrz Daniel kilka minut później.

Matka i córki wyszły pospiesznie na podwórze, a stamtąd przez furtkę na pożłobione koleinami zaschnięte błoto na drodze. Pani Gookin patrzyła spod przymrużonych powiek w stronę rzeki. Od czasu wyjazdu męża jej wzrok się pogorszył. Widziała jedynie

ciemną sylwetkę promu, przypominającą wodnego żuka sunącego przez jasną wstęgę wody.

– To wóz! – zawołali chłopcy. – To wóz! To tata na wozie!

Popędzili drogą na spotkanie promu. Nathaniel musiał szybko przebierać krótkimi nóżkami, by dotrzymać kroku braciom.

– To naprawdę on? – spytała pani Gookin, bezskutecznie wyciążając wzrok.

– To on – potwierdziła Elizabeth. – Popatrz! Macha do nas!

– Och, Bogu dzięki! – Jej matka osunęła się na kolana. – Bogu dzięki!

– Tak, to on – rzuciła Mary, osłaniając dłonią oczy przed słońcem, po czym dodała ze zdziwieniem: – Ale jest z nim dwóch mężczyzn.



Gdy chwilę później cała rodzina utonęła w uściskach, wymieniając pocałunki, śmiano się i płakano, podrzucano dzieci wysoko w górę i obracano je na wszystkie strony, początkowo nikt nie zwracał uwagi na dwóch nieznanym mężczyzn, którzy przez cały czas siedzieli na tyłach wozu pośród bagaży.

Daniel Gookin posadził sobie Nathaniela na ramionach, wziął Dana i Sama pod pachy i przez chwilę biegał po podwórku, rozganiając wystraszone kurczaki, a potem zajął się piszczącymi córkami. Ich matka zdążyła już zapomnieć, jak wysoki jest jej mąż, jak przystojny i silny. Nie mogła oderwać od niego wzroku.

W końcu Daniel postawił na ziemi rozradowane dziewczęta, objął żonę w pasie i wyszeptał:

– Są tu ludzie, których musisz poznać; nie obawiaj się. – Pchnął ją łagodnie w stronę wozu. – Panowie, całkiem zapomniałem o dobrych manierach. Pozwólcie, że przedstawię wam moją żonę,

prawdziwą roztropną\* Mary, istotę z krwi i kości.

Ku pani Gookin zwróciły się dwie brodate ogorzałe twarze. Przybysze unieśli w pozdrowieniu kapelusze, odsłaniając zmierzwione długie włosy. Obaj nosili płaszcze z bawolej skóry, oblepione warstwą soli, i obtarte brązowe buty z wysokimi cholewami. Kiedy się uklonili, dość sztywno, gruba skóra zaskrzypiała, a Mary wyczuła woń morza, potu i pleśni, jakby mężczyzn wyłowiono z dna Atlantyku.

– Mary, to moi dobrzy przyjaciele i towarzysze podróży, pułkownik Edward Whalley i jego zięć, pułkownik William Goffe.

– Miło nam panią poznać – powiedział Whalley.

Kobieta uśmiechnęła się wymuszenie i zerknęła na męża – dwóch pułkowników? – lecz ten odsunął się od niej i pomagał gościom zejść z wozu. Zauważyła, że traktuje ich z wielkim szacunkiem. Kiedy stanęli na ziemi po wielu tygodniach spędzonych na morzu, obaj zachwiali się lekko, parsknęli śmiechem i przytrzymali się nawzajem. Dzieci gapily się na nich z otwartymi ustami.

– Podziękujmy wszyscy za szczęśliwe przybycie – odezwał się pułkownik Goffe, ten młodszy, z lekkim melodyjnym zaśpiewem. Pod jego brodą kryła się przystojna, inteligentna i pobożna twarz. Rozłożył ręce, odwracając wnętrze dłoni do góry, i podniósł oczy ku niebu.

Gookinowie oderwali od niego zafascynowane spojrzenia i pochylili głowy.

– Wspomnijmy psalm sto siódmy. *Niech dzięki czynią Panu za Jego łaskawość, za Jego cuda dla synów ludzkich!*\*\* Ci, którzy na statkach ruszyli na morze, aby uprawiać handel na ogromnych wodach, ci widzieli dzieła Pana i Jego cuda wśród głębiny\*\*\*. Amen.

– Amen.

---

\* *Prudent* (ang.) – roztropny; aluzja do statku *Prudent Mary*.

\*\* Biblia Tysiąclecia, Ps 107, 23-24 (pozostałe cytaty również z Biblii Tysiąclecia).

\*\*\* Ps 107, 31.

– A kogóż my tu mamy? – spytał pułkownik Whalley. Przechodząc wzdłuż szeregu dzieci, pytał je o imiona. Potem wskazywał na każde po kolei. – Mary. Elizabeth. Daniel. Sam. Nathaniel. Bardzo dobrze. Ja jestem Ned, a to jest Will.

– Znał pan lorda proterkota, Ned? – odezwał się Nathaniel.

– Znałem, bardzo dobrze.

– Wie pan, że on nie żyje?

– Ciii... – upomniała chłopca matka.

– Tak, Nathanielu, nie żyje – odpowiedział ze smutkiem Ned.

– Wielka szkoda.

Zapadła cisza.

Po chwili Daniel Gookin klasnął w dłonie.

– Chłopcy, przynieście bagaże panów pułkowników.

Do tego momentu Mary Gookin łudziła się nadzieją, że mąż tylko podwiózł tych dwóch wojskowych. Teraz, gdy patrzyła, jak zdejmują z wozu bagaże i podają je chłopcom, poczuła irytację i rozczarowanie. Z pewnością nie tak wyobrażała sobie powrót męża – nie w towarzystwie dwóch angielskich oficerów, których będzie musiała zakwaterować i karmić.

– Gdzie ich położymy, Danielu? – spytała cicho, by jej nie usłyszeli. Nie patrzyła przy tym na męża, bo tak łatwiej przychodziło jej zapanować nad złością.

– Chłopcy mogą im oddać swoje łóżka i spać na dole.

– Jak długo tu zostaną?

– Tak długo, jak będzie to konieczne.

– Czyli? Dzień? Miesiąc? Rok?

– Nie wiem.

– Dlaczego tutaj? W Bostonie nie było pokoi do wynajęcia? Panowie pułkownicy są za biedni, żeby opłacić sobie nocleg?

– Gubernator uważa, że Cambridge to bezpieczniejsze miejsce niż Boston.

Bezpieczniejsze...



– Rozmawiałeś z gubernatorem o ich zakwaterowaniu?

– Spędziliśmy z nim pół dnia. Zaprosił nas na obiad.

Więc dlatego droga z Bostonu zajęła mu tyle czasu. Spojrzała na chłopców uginających się pod ciężarem wielkich kufrów, a potem na pułkowników, którzy szli za nimi w stronę domu i rozmawiali z dziewczętami. Do irytacji i rozczarowania, które wypełniały jej serce, dołączyło nagle coś znacznie gorszego: strach.

– A dlaczego... – zaczęła z wahaniem. – Dlaczego gubernator uważa, że w Cambridge jest bezpieczniej niż w Bostonie?

– Bo w Bostonie roi się od łajdaków i rojalistów, a tu będą wśród bogobojnych ludzi.

– Więc oni nie są zwykłymi gośćmi z Anglii, tylko... zbiegami?

Daniel milczał.

– Przed czym uciekają? – spytała go żona.

Nie spieszył się z odpowiedzią. Odezwał się dopiero wtedy, gdy dwaj mężczyźni zniknęli we wnętrzu domu.

– Zabili króla – powiedział cicho.

## ROZDZIAŁ DRUGI

W Anglii była już niemal dziewiąta wieczorem; właśnie zachodziło słońce. Isabelle Hacker w prostej niebieskiej sukni kwaków, pokrytej brązowym pyłem drogi, na której spędziła ostatnie dwa dni, wjeżdżała właśnie do rodzinnej osady Stathern w hrabstwie Leicester.

Towarzyszył jej jadący tuż za nią mężczyzna. Jego bliskość działała jej na nerwy. Podobnie jak jego milczenie. Podążał za nią na północ od samego Londynu. Nawet gdy zatrzymali się na nocleg, wypowiedział zaledwie kilka słów. Wiedziała, że w kieszeni wiezie nakaz wydany trzy dni wcześniej przez Izbę Lordów. Pokazał go, gdy zapukał do jej drzwi w Londynie. *Niniejszym nakazuje się, by pułkownik Hacker niezwłocznie wysłał żonę do swojego domu na prowincji po rzeczony dokument. Nakazuje się również, by reprezentujący Izbę Lordów pan Usher wysłał z nią swojego przedstawiciela.*

– Ja jestem tym przedstawicielem – oświadczył mężczyzna.

Isabelle Hacker od razu zgodziła się pojechać z nim na wieś. Była gotowa zrobić wszystko, by pomóc mężowi uwięzionemu w Tower i podejrzanemu o zdradę, za którą karano śmiercią, zadawaną w sposób budzący trudną do zniesienia grozę: skazańca najpierw wieszano tak, by stracił przytomność, następnie odcinano go, cucono, kastrowano, wypruwano wnętrzności – które

rozciągano i palono na oczach wciąż żyjącej ofiary – po czym ści-nano mu głowę, a ciało rozcinano na cztery części i wystawiano je na widok publiczny. Taka kaźń wydawała się niewyobrażalna, a mimo to Isabelle nieustannie zadręczała się myślami o tym, co może czekać jej męża. Najgorsza wydawała się świadomość, że nie-szczęśnik opuści ten świat w straszliwych cierpieniach, a ona nie będzie nawet mogła złożyć jego ciała do grobu.

Pożegnała się z dziećmi i godzinę później oboje byli już w dro-dze. Obserwując ukradkiem towarzyszącego jej mężczyznę, doszła do wniosku, że ma około czterdziestki – kilka lat mniej niż ona – i że prawdopodobnie był kiedyś ranny lub doznał urazu przy po-rodzie, bo ledwie dostrzegalnie utykał. Był barczysty, miał krótkie nogi, a kiedy już się odzywał, robił to zaskakująco cichym głosem. Powiedział jej, że nazywa się Richard Nayler. Domyśliła się, że jest urzędnikiem pracującym dla Tajnej Rady Królewskiej. Dobrze jeź-dził konno. Poza tym nie mogła o nim powiedzieć nic więcej.

Kończący się dzień był gorący, a wieczorem niewiele się ochłó-dziło. Kilku mieszkańców wioski przechadzało się drogą lub wysta-wało przy bramach domów. Usłyszawszy stukot kopyt, spoglądali na drogę, a potem szybko odwracali wzrok. Mężczyźni, którzy mie-siąc temu zdejmowali przed nią kapelusz i gięli się w ukłonach, te-raz byli zbyt wystraszeni, by w jakikolwiek sposób zareagować na jej obecność. Isabelle Hacker była co prawda pobożną kwakierką i dziedziczką, ale także żoną spiskowca. Patrzyła dziś na tych ludzi z nieskrywaną pogardą.

Stathern Hall, największy dom w osadzie, stał niedaleko ko-ścioła Świętego Gutlaka. Właśnie cichło ostatnie – dziewiąte – ude-rzenie dzwonu wybijającego godzinę, gdy Isabelle skręciła z drogi i przejechała przez otwartą bramę. Od razu zauważyła, że w ciągu kilku ostatnich tygodni, kiedy szukała wsparcia dla męża, ogród warzywny zarósł chwastami. Trawę w sadzie przydałoby się skosić. W gęstniejącym mroku dom wydawał się pęsepnym i opuszczonym.

Gdy wierzchowiec Isabelle zatrzymał się przed frontem domu, zeskoczyła na ziemię, przywiązała zwierzę do żelaznej poręczy przy wejściu, po czym nie patrząc na Naylera, wyjęła z kieszeni klucz i otworzyła ciężkie drzwi. Chciała jak najszybciej pozbyć się tego człowieka.

Przeszła po kamiennej podłodze i zawołała służbę, lecz jej głos odbił się tylko echem w pustym domu. Wyglądało na to, że nawet służący uciekli. W holu nagle pociemniało, gdy w drzwiach za jej plecami stanął Nayler. Kiedy szła do gabinetu męża, podążał za nią szybkim krokiem. Prawdopodobnie chciał mieć pewność, że kobieta nie zniszczy dokumentu, po który tu przyjechali. W gabinecie panowała duchota. W koronach drzew za witrażowymi oknami śpiewały słowiki. Isabelle dobyła z szuflady małą kasetkę, wyjęła z niej klucz i uklękła przed sejfem. Nigdy nie czytała tego dokumentu, ale wiedziała, jak wygląda. Odda go, uratuje Francisca przed męczarnią i pozbędzie się niechcianego towarzysza.



Aż do tej chwili Nayler wolał nie łudzić się nadzieją, że dokument wciąż istnieje. Nikt nie widział go od jedenastu lat. Wiedział z doświadczenia, że zdesperowani ludzie zrobią wszystko, by kupić sobie trochę czasu – a pułkownik Hacker był w naprawdę beznadziejnym położeniu. Jego żona, zwrócona do Naylera wąskimi plecami, przerzucała ukryte w sejfie akty własności, rachunki i inne papiery, aż w końcu wyciągnęła rulonik i powoli się podniosła.

Zakładał, że jeśli dokument rzeczywiście istnieje, to jest to wielki – proporcjonalnie do wymiaru zbrodni – arkusz pergaminu, jak te z ustawami parlamentarnymi. Tymczasem kobieta podała mu przewiązany postrzępioną czarną wstążką mały rulon długości najwyżej ośmiu cali, jakby to była umowa sprzedaży konia czy rachunek za beczkę wina. Był jednak obiecująco ciężki jak na swoje rozmiary. Pergamin, nie papier. Nayler przeniósł go do okna i w

nikłym świetle rozwiązał wstążkę. Rozwinął arkusz, którego dłuższy bok miał jakieś siedemnaście cali. Pisemny rozkaz wykonania wyroku śmierci na Karolu Stuarcie, królu Anglii, Szkocji i Irlandii, wręczony przez samego Olivera Cromwella pułkownikowi Francisowi Hackerowi, dowódcy wojsk strzegących króla w dniu egzekucji Jego Wysokości.

Gdy Nayler położył arkusz na biurku, pergamin natychmiast zwinął się w rulon, niczym wąż broniący się przed wrogiem. Mężczyzna usiadł, zdjął kapelusz, położył go z boku biurka i wytarł ręce w kaftan.

– Jakieś światło, gdyby była pani tak uprzejma.

Isabelle Hacker poszła do holu, gdzie w komodzie trzymano świece. Potrzebowała sporo czasu, by drżącymi rękami skrzesać ogień. Kiedy wróciła do gabinetu, niosąc dwa świeczniki, Nayler siedział w tym samym miejscu i w takiej samej pozie, w jakiej go zostawiła, nieruchomy niczym posąg na tle ciemniejszego okna. Postawiła świeczniki na blacie. Nie podziękowałszy jej ani słowem, mężczyzna przyciągnął je do siebie i rozwinął pergamin.

Z zaciekawieniem zauważył, że dokument jest pełen skreśleń i dopisków. Zastanawiał się, o czym to mogło świadczyć. Być może o pośpiechu? O zamieszaniu? O wątpliwościach? Zaczął czytać głośno jego treść, by dobrze ją zapamiętać, a nie przez wzgląd na kobietę, która uważnie mu się przyglądała.

– *Zważywszy na to, że Karol Stuart, król Anglii, został uznany za winnego zdrady stanu oraz innych zbrodni, a w minioną sobotę ten Sąd skazał go na karę śmierci przez oddzielenie głowy od ciała i wyroku tego jeszcze nie wykonano, z całą stanowczością rozkazuje się Wam dopilnować, by egzekucja odbyła się pod gołym niebem na ulicy przed Whitehall dnia jutrzejszego, czyli trzydziestego dnia miesiąca stycznia między godziną dziesiątą rano a piątą po południu...*

– Te straszliwe i doniosłe słowa utkwiły mu na moment w gardle. Musiał przerwać, by nabrać powietrza, i kontynuował: – *Niniejszy*

*rozkaz w pełni Was do tego upoważnia. Jednocześnie nakazuje się, by wszyscy oficerowie, żołnierze i inni dobrzy Anglicy wspomagali Was w wykonaniu tego obowiązku. Co potwierdzamy naszymi podpisami i pieczęciami...* – Znow zrobił krótką pauzę. – A tutaj są nazwiska.

Przejrzał pobieżnie pięćdziesiąt kilka podpisów pod tekstem, ułożonych w siedmiu kolumnach. Obok nich widniały czerwone pieczęcie osób, które się podpisały, rozsiane po dokumencie niczym krople krwi.

– Ale nie ma wśród nich nazwiska mojego męża? – odezwała się kobieta.

Nayler znowu przeglądał listę nazwisk, zatrzymując się na moment przy niektórych. Gregory Clements. Edmund Ludlow. Thomas Harrison. William Goffe.

– Nie. On tego nie podpisał.

Głośno wypuściła powietrze z płuc.

– Widzi pan, mówił prawdę. Nie należał do tych, którzy osądzili króla, i nie złożył podpisu pod wyrokiem śmierci.

– Owszem, ale tak czy inaczej, jest tu jego nazwisko. *Do pułkownika Francisa Hackera, pułkownika Huncksa i podpułkownika Phayre’a.* – Podsunął jej pergamin i wskazał miejsce. – Rozkaz jest adresowany przede wszystkim do pani męża i zapewne dlatego znalazł się w jego posiadaniu.

– Ale mój mąż był tylko żołnierzem – zaprotestowała. – Wykonywał rozkazy, nie wydawał ich.

– O tym zdecyduje sąd.

Nayler przysunął do siebie dokument na wypadek, gdyby kobieta próbowała mu go wyrwać. Hacker nadzorował egzekucję. Wina pułkownika była oczywista. A jego żona dała Naylerowi dowód – jakby wręczyła mu stryczek, na którym zawisnie jej mąż. Chyba właśnie zdała sobie z tego sprawę, bo błada jak ściana zachwiała się i oparła o biurko. Chciał się jej jak najszybciej pozbyć. Odegrała swoją rolę, a on chciał w spokoju uważnie obejrzeć dokument.

– Już późno, pani Hacker. Powinna pani udać się na spoczynek. – Zauważył sofę w rogu gabinetu. – Ja spędzę noc tutaj, jeśli pani pozwoli, i wyjadę o brzasku.

Kobieta nie mogła się pogodzić z tą klęską, nagłą i okrutną. Dwa dni jazdy tylko po to.

– Ale zrobiliśmy to, co nam nakazała Izba Lordów – powiedziała. – To też musi się jakoś liczyć.

– Nie mnie o tym decydować. Proponuję, żeby udała się pani na spoczynek i pomodliła za męża. – Jego usta wykrzywiły się w lekkim uśmiechu. – Cała reszta w rękach Boga, prawda?

Ileż to razy w ciągu ostatnich jedenastu lat słyszał tę świętoszkowatą formułkę? Ciekawe, czy teraz im się tak podoba.

Kobieta przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy. Temu człowiekowi nie wystarczało, że ścigał, więził i zabijał wrogów króla. Musiał jeszcze drwić z ich wiary. Ale diabeł w chwilach triumfu też jest z siebie dumny i niczego się nie wstydzi. Nayler patrzył na nią wyzywająco. W końcu odwróciła się, wyszła z gabinetu, poszła na górę do sypialni i osunęła się nieprzytomna na podłogę.



Choć miał za sobą długi i wyczerpujący dzień, Nayler nie czuł głodu ani pragnienia. Ten dokument był dla niego wystarczającą strawą. Usiadł przy biurku i ponownie go przeczytał. ...*przez oddzielenie głowy od ciała... pod gołym niebem na ulicy przed Whitehall...* Te słowa wciąż go szokowały. Rozchylił kaftan, rozpiął koszulę i pochylił głowę, by zdjąć ramię, który nosił na szyi od jedenastu lat. Wisiał na nim niewielki woreczek, w którym krył się maleńki skrawek płótna poplamionego krwią. Obrócił go w palcach.

Doskonale pamiętał tamten zimowy dzień: wymknął się o brzasku z Essex House i smagany przenikliwym wiatrem od Tamizy, szedł pospiesznie Strandem, mijając wielkie rezydencje z

widokiem na rzekę. Niósł ze sobą ukryty pod kaftanem pistolet i stary wojskowy nóż. Wszystko to wydawało mu się nierealne. Uciąć głowę koronowanego króla? Niemożliwe. Barbarzyństwo. Świątokradztwo. Nie zrobią tego. Albo nie zgodzi się na to generał Fairfax, zwolennik parlamentu, albo tysiące rojalistów ukrytych w mieście chwycą za broń, by do tego nie dopuścić. W razie potrzeby sam był gotowy poświęcić życie, by ratować swojego władcę.

Potem, gdy skręcił przy Charing Cross w stronę Whitehall, stracił wszelką nadzieję. Cóż to był za widok! Tłum zgromadzony na King Street z pewnością był wystarczająco liczny – pięćset lub sześćset osób – by wywołać zamieszki, ale żołnierzy było jeszcze więcej, co najmniej tysiąc: szeregi pikinierów stojących ramię w ramię i powstrzymujących ludzką cizbę, a dalej kawaleria ustawiona pośrodku szerokiej arterii, gotowa powstrzymać każdego, kto próbowałby dotrzeć do szafotu. Przygotowane naprędce podwyższenie z desek, okryte czarną materią, przylegało do bocznej ściany Banqueting House. Od strony ulicy nie dostawiono tu żadnej drabiny; na szafot można było wejść tylko przez górne okno budynku. Jakiś zorganizowany umysł – wojskowy umysł – obmyślił to wszystko bardzo starannie.

Nayler przepychał się przez tłum w ponurej ciszy, pozbawionej choćby cienia świątecznego nastroju, jaki zwykle towarzyszył egzekucjom. Nawet najbardziej radykalni republikanie, lewellerzy, łatwo rozpoznawalni dzięki turkusowym wstążkom przypiętym do kaftanów i kapeluszy, choć raz trzymali gęby na kłódkę. Przeciskał się przez milczącą cizbę wzdłuż muru oddzielającego Whitehall od Tilt Yard. Ludzie stali na nim lub siedzieli ze zwieszonymi nogami. Dostrzegł trochę wolnego miejsca i zażądał, by go tam wpuszczono, a gdy nikt się nie poruszył, złapał najbliższego mężczyznę za nogi i zagroził, że ściągnie go na ziemię, jeśli się nie przesunie. Nayler miał posturę zapaśnika, więc w końcu ludzie zrobili mu miejsce.

Kiedy stanął na murze, wysoko ponad głowami tłumowi i



żołnierzy, mógł przyjrzeć się lepiej szafotowi, oddalonemu o jakieś trzydzieści jardów. Okna Banqueting House zostały zabite deskami, z wyjątkiem jednego, na pierwszym piętrze, które prowadziło bezpośrednio na podwyższenie. Od czasu do czasu wychodził z niego oficer, przechadzał się wokół szafotu, lustrował wzrokiem zgromadzonych ludzi i żołnierzy, po czym wracał do ciepłego wnętrza i zamykał za sobą okno. Pośrodku podwyższenia znajdowało się pięć małych przedmiotów, których przeznaczenie nie od razu wydało się Naylerowi oczywiste. Jednym z nich był bardzo niski pniak, niewiele wyższy od ludzkiej dłoni. Po obu stronach pniaka znajdowały się dwie żelazne obręcze; druga para, ułożona tuż obok siebie, znajdowała się nieco dalej. Zapewne umieszczono je tam po to, by skrzepować króla, gdyby ten się szarpał lub próbował podburzyć tłum, i ściąć go, kiedy będzie już leżał nieruchomo. Kolejny element starannie przemyślanego planu. Barbarzyństwo.

Choć wstał już dzień, wcale nie robiło się ciepłej. Ukryte za chmurami słońce nie łagodziło mrozu; przenikliwy wiatr podnosił co jakiś czas kłęby śniegu, szare niebo, sprawiające wrażenie ciężkiego, napierało na dachy budynków. Zdawało się, że czas również zamarzał i stanął w miejscu. Nayler musiał trzymać ręce w kieszeniach i przestępować z nogi na nogę, by nie zdrętwieć z zimna. W końcu w oddalonym o pół mili na południe opactwie Westminster dzwon wybił dziewiątą. Stara rana na nodze Naylera bolała tak, jakby ktoś wbił nóż w kość. Jego umysł upodobił się do nieba, wypełnił ponurą szarością; zostały tylko ból w nodze, ziąb i strach. Minęła kolejna godzina. Odliczył dziesięć uderzeń zegara, a wkrótce potem usłyszał odległe bicie werbli, dochodzące gdzieś z tyłu, od strony St James's Park: powolny, pogrzebowy rytm. Po chwili werble ucichły.

Spojrzał na prawo, na Holbein Gate. Nad łukiem potężnej bramy znajdował się przeszkłony częściowo korytarz prowadzący do Banqueting House. W oknach ze szprosami pojawiło się kolejno

kilka postaci: najpierw żołnierze, potem niższy mężczyzna o znajomym profilu – ten odwrócił się na moment, by spojrzeć na tłum i na szafot – następnie dwóch duchownych i znów żołnierze. Na widok znajomej sylwetki Nayler zmartwiał. Chwilę później procesja zniknęła. Inni też ją dostrzegli i przez tłum przebiegły podniecone głosy:

– On tu jest!

Nadal jednak nic się nie działo. Wybiła jedenasta. Południe. Z każdą upływającą minutą nadzieje Naylera rosły. Wśród zgromadzonych na ulicy ludzi krążyły plotki dotyczące powodów opóźnienia: że w tej właśnie chwili Izba Gmin debatuje nad odwołaniem egzekucji, że król zgodził się abdykować na rzecz syna, że Holendrzy zaoferowali pół miliona funtów za wstrzymanie egzekucji. Nayler próbował nie wyobrażać sobie, jakie myśli krążą teraz po głowie Jego Wysokości, czekającego w Banqueting House. Już sam zamiar ścięcia króla był czystym złem, ale przeciąganie jego męczarni wydawało się okrucieństwem ponad miarę.

Minęła pierwsza, zbliżała się już druga, gdy w końcu coś zaczęło się dziać. Otworzyło się okno przy szafocie i wyszedł z niego oddział żołnierzy z oficerami, a za nimi kat i jego pomocnik, odziani w długie kaftany z czarnej wełny i czarne rajtuzy. Ich twarze zakryte były czarnymi maskami z groteskowymi białymi perukami i sztucznymi brodami. Niższy niósł topór, opierając jego drzewce o szerokie ramię. Za nim pojawił się biskup z otwartym modlitewnikiem w ręce.

Jako ostatni z okna wyszedł król – drobny, z gołą głową, mierzący zaledwie pięć stóp i trzy cale wzrostu, chociaż jak zawsze, nawet w tych ostatnich minutach, nosił się jak olbrzym. Podszedł prosto do niskiego pniaka, wyraźnie oburzony, że musi leżeć na brzuchu, by poddać się egzekucji. Oficerowie, w których stronę kierował to oburzenie, popatrzyli po sobie i pokręcili głowami. Król odwrócił się od nich. Wyjął spod płaszcza małą kartkę i przeszedł

na skraj podwyższenia. Powiódł wzrokiem po żołnierzach, kawalerii i zgromadzonym dalej tłumie. Uświadomiwszy sobie zapewne, że nie zdoła przemówić tak głośno, by wszyscy go usłyszeli, wrócił na środek podwyższenia i odczytał oświadczenie oficerom. Nayler nie słyszał ani słowa, ale następnego dnia zostało wydrukowane i można je było kupić niemal na każdej londyńskiej ulicy. *Gdybym w istocie zechciał uciec się do tyranii, zmieniać wszystkie prawa siłą miecza, nie byłoby mnie tu dzisiaj. Dlatego też mówię wam (i modłę się do Boga, by nie poczytał wam tego za winę), że jestem męczennikiem ludu...*

Król rozpiął płaszcz i zrzucił go, zdjął również kaftan i podał go biskupowi wraz z jakąś lśniącą ozdobą. Stał prosto w białej koszuli, na dotkliwym mrozie, i zebrał długie włosy pod kapelusz. Nie drżał. Powiedział coś do kata i wskazał gniewnie na niski pieńnik, potem wzruszył ramionami, ukląkł i położył się na brzuchu, układając głowę na pieńku tak, by było mu wygodnie. Wyprostowane ręce złożył za plecami. Kat rozstawił nogi, podniósł topór i odciągnął go do tyłu najmocniej, jak potrafił. Po kilku sekundach król wykonał dłońmi nieznaczny gest, jakby zamierzał rzucić się do wody i zanurkować. Wtedy ostrze opadło z taką siłą, że w ciszy zalegającej nad placem uderzenie słychać było na całej ulicy prowadzącej do Whitehall.

Z pozbawionego głowy tułowia wytrysnęła krew. Żołnierze stojący najbliżej pieńka odsunęli się od czerwonego strumienia, a po chwili krew spływała już jednostajnie, niczym piwo z przewróconej beczki. Kat, który wciąż trzymał w dłoni topór, podniósł głowę króla za włosy, przeszedł na przód podwyższenia i pokazał ją zgromadzonym. Krzyczał coś, lecz jego słowa zagłuszył wielki ryk, który podniósł się z tłumu; podniecenie mieszało się w nim z przerażeniem i odrazą. Ludzie zaczęli napierać na żołnierzy i przedarli się między zdezorientowanymi pikinierami, którzy odwrócili się na moment, by oglądać ten makabryczny spektakl; pierwsi z gapiów

przemykali już między kawalerzystami. Nayler zeskokczył z muru i popędził na drugą stronę Whitehall, gdzie przed chwilą odbyła się egzekucja.

Pod podwyższeniem sączyła się spomiędzy desek krew. Opadała ciężko, niczym grube krople deszczu zapowiadającego burzę. Ludzie przeciskający się do tego miejsca raz po raz potracali Naylera. Ten podniósł swoją chustkę i patrzył, jak pojawiają się na niej karmazynowe kropki. Jedna, dwie, trzy krople połączyły się w większą plamę. Wtedy złożył chustkę i przecisnął się przez tłum, przeszedł Whitehall, a potem Strandem do kaplicy przy Essex House, gdzie w to ponure zimowe popołudnie jego protektor, markiz Hertfordu, klęczał z rodziną przed ołtarzem i czekał na wieści.



Na przestrzeni lat krew męczennika wyblakła i przybrała rdzawy odcień. Być może kiedyś całkiem zniknie. Nayler poprzysiągł jednak, że dopóki się to nie stanie, zrobi wszystko, co w jego mocy, by pomścić wydarzenia tamtego styczniowego dnia. Ucałował chustkę, złożył ją starannie, schował z powrotem do woreczka i nałożył rzemyk na szyję, by relikwia znalazła się blisko jego serca.

W gabinecie zaległa już ciemność, rozświetlana jedynie blaskiem świec. Ptaki za oknem przestały śpiewać.

Przejrzał podpisy na rozkazie wykonania wyroku śmierci i naliczył ich pięćdziesiąt dziewięć. Niektóre nazwiska były słynne, inne znane tylko nielicznym, lecz Nayler zapamiętał je wszystkie w ciągu ostatnich dziesięciu tygodni, gdy szukał ich w zakurzonych dokumentach dotyczących procesu króla. Ale czym innym była wiedza, że taki a taki człowiek zasiadał w sądzie podczas procesu króla Karola Stuarta w Westminster Hall takiego a takiego dnia, a czym innym dowiedzenie, że miał na rękach jego krew. A ten rozkaz stanowił niepodważalny dowód winy. Na przykład szczywany pułkownik Ingoldsby przyznał się już do podpisania tego dokumentu,

lecz twierdził, że został do tego zmuszony i że Cromwell, śmiejąc się z jego skrupułów, wcisnął mu pióro w dłoń i siłą przesuwał je po pergaminie. Tutaj jednak, w piątej kolumnie, widniał całkiem zgrabny, starannie skreślony podpis Ingoldsby’ego, a obok jego pieczęć. Wszyscy ci, którzy podpisali się pod wyrokiem króla, tym samym podpisali wyrok śmierci na siebie.

Nayler przeniósł spojrzenie na nazwiska figurujące w pierwszej kolumnie. Pierwszy był John Bradshaw, prawnik, którego mianowano przewodniczącym sądu. Tak bardzo bał się zamachu, że podczas wszystkich posiedzeń nosił pod sędziowskimi szatami zbroję, a głowę okrywał kuloodpornym kapeluszem ze stali obszytej futrem bobrowym; szczęśliwie dla niego nie żył już od niemal roku, a tym samym uniknął zemsty. Autorem drugiego podpisu był Thomas Grey – lord Grey z Groby, nazywany „lordem lewellerów” – człowiek zbyt radykalny nawet dla Cromwella i ten w końcu wtrącił go do więzienia. Grey również już nie żył. Jako trzeci w tej kolumnie podpisał się sam Cromwell, architekt tego diabolicznego procesu; on oczywiście również nie żył i smażył się teraz w piekle. Jednak kolejny podpis, złożony tuż pod autografem Cromwella, należał do człowieka, który według wiedzy Naylera wciąż żył i którego dobrze znał.

Musi sporządzić nową listę.

Wyjął kartkę z biurka Hackera, zanurzył pióro w kałamarzu i zapisał starannie: *ptk Edu. Whalley.*

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiążka.pl](http://taniaksiążka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).